

Rewolucja w języku

Odbijające się ostatnio protesty po orzeczeniu Trybunału w sprawie zastrzeżenia przepisów antyaborcyjnych są bardzo interesujące także pod względem językowym. Bez względu na to, czy pojawiające się na transparentach i wykrzykiwane przez demonstrantów hasła nas rażą, irytują, bawią czy zachwycają — warto im się przyjrzeć. Także dlatego, że jest to największy, najliczniejszy protest uliczny w historii Polski. Liczbę protestujących tylko 28 października ocenia się na ponad 400 tysięcy (w 410 miastach). Mniej liczny były nawet Wielki Strajk Chłopski w 1937 roku.

Zacznijmy od wulgaryzmów, bo to one najbardziej rzucają się w oczy i uszy. Główne hasło protestu, „W...ć”, niesione na wielkim transparencie, uznać można za przekroczenie granic i złamanie zasad. Potrafię zrozumieć oburzenie, jakie wywołało ono w wielu osobach, także w językoznawcach. Ale miejmy też świadomość, że na bunt oburzamy się wtedy, kiedy go nie rozumiemy, kiedy nie widzimy jego sensowności. A dokładniej: nie rozumiemy potrzeby aż takiej jego radykalizacji. Zwróćmy uwagę na trzy kwestie. Po pierwsze, to nie są pierwsze protesty w sprawie aborcji w ciągu ostatnich lat. Poprzednie zostały przez rządzących zignorowane. Czemu na tych protestach hasła są tak radykalne? Czemu kobiety nie maszerują pod transparentami z łagodnymi hasłami: „Jestem zaniepokojona”? Odpowiedź przynosi jedno z hasel, które pojawiło się w pierwszych dniach ostatnich protestów: „Zaniepokojona to ja byłam w 2016”. Orzeczenie TK jest niepodważalne, z prawnego punktu widzenia zamyka dyskusję. A skoro dyskusja jest zamknięta, to czemu liczymy, że hasła na protestach będą łagodnie zachęcały do dialogu? Po drugie, w patriarchalnym społeczeństwie kobietom szczególnie „nie wypada” przeklinać, stąd siła wulgarnych hasel zwiększa się, gdy wypowiadają je kobiety. Po trzecie, wulgaryzmy należą do tzw. ekspresywizmów, czyli słów wyrażających emocje. Decyzja Trybunału i komentarze prawicowych polityków i publicystów wywołały skrajne emocje, czyli stan, w którym posługiwanie się wyrazami emocji jest uprawnione, czy tego sobie nasze uszy życzą, czy nie. Są takie słowa, których używamy na co dzień, są też takie, którymi posługujemy się przy specjalnych okazjach. Sytuacja, w której zostały postawione kobiety (i wspierający je mężczyźni) jest szczególna. Wulgaryzmy w sferze publicznej, do tej pory zarezerwowane w pewnym sensie dla niższych klas społecznych, są używane nawet przez tych, którzy do tej pory tego nie robili, bo tak byli wychowani. Skłonny byłbym nawet do stwierdzenia, że nastąpiła swoista „demenelizacja” wulgaryzmów. I wbrew obawom wielu komentatorów nie wierzę, by po protestach słowo „w...ć” straciło swoją ekspresywną moc i stało się słowem neutralnym.

Łatwo zauważyć, że to także bunt młodych przeciwko starym, nazywanych pogardliwie „dziadersami”. Należą do nich nie tylko przedstawiciele partii rządzących, ale i wszyscy ci, którzy — jak notuje internetowy słownik neologizmów „Nowe wyrazy”, tworzony na Uniwersytecie Warszawskim — głównie „mężczyzna, zazwyczaj wpływowy, traktujący kobiety (rzadziej: osoby młode) w sposób lekceważący, protekcyjny, przedmiotowy, przejawiający poczucie wyższości”.

Dziadersem okazał się więc także prof. Andrzej Rzepliński (w radiowym wywiadzie nazywający protestujące osoby „holotą” — potem twierdził, że tak nie powiedział) czy marszałek Senatu Tomasz Grodzki, który powiedział: „To kobiety sprawiają, że nasze codzienne życie toczy się harmonijnie i gładko, w sposób trochę jakby niezauważalny”. To przykład na to, że nawet broniąc kobiet można nie zauważyć, że traktuje się je protekcyjnie i w gruncie rzeczy pokazuje się własne skostniałe i przestarzałe poglądy. Bo świat, w którym się żyje, jest wygodny i uporządkowany. A to jest właśnie bunt przeciwko porządkowi świata. Przeciwko opresyjnej polityce, nie tylko obecnie rządzącej formacji politycznej. Polityce „dziadersów”.



Maria Poprzęcka słusznie zauważyła, że ostatnie protesty mają charakter spontaniczny i zindywidualizowany: „Rękodzielniczy charakter bieda-transparentów to jeszcze jedna, może najważniejsza cecha tego, co dzieje się na ulicach. Idzie nie zdepersonalizowany, ujęty w skoordynowane ramy pochód, lecz płynie silnie zindywidualizowana wielka ludzka rzesza. Każdy uczestnik, wypisując i niosąc własne hasło, manifestuje siebie, swoją twórczą osobowość”. Niebywała jest kreatywność twórców hasel, którzy np. często sięgają do literatury. Od oczywistych cytatów i nawiązań do „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood, poprzez bliższe im pokoleniowo odwołania do Harry’ego Pottera i „Władcy pierścieni”, aż po odniesienia do polskiej literatury, zwłaszcza romantycznej. W czasie tych protestów okazało się, że literatura, nad którą przysypiali w szkole, może być tak aktualna: „Słuchaj dziewczeczko, ona NIE słucha!”, „Rozdziobią WAS kruki, wrony”, „Wokulskiemu lepiej szło z Łęcką niż wam z rządzeniem”. Pod tym względem najbardziej wymowne jest dla mnie hasło: „Uczyliście nas romantyzowania powstań, a teraz się oburzacie, że protestujemy”.

Trzeba powiedzieć jedno: język tych protestów wyraźnie odbiega od wszystkich dotychczasowych. Thomas Kuhn pisał, że rewolucja w nauce zaczyna się od rewolucji w języku. Czy ta zasada obowiązuje tylko w nauce? Nie sądzę. I myślę, że rządzący powinni mieć tego świadomość.

MICHAŁ RUSINEK